

Przemysły (tomik)



MIECZYŚLAW BRAUN

Przemysły (tomik)

Ziemia marcowa

Niecierpliwie smakując gorzkie zioła wiosny
I pieszcząc zieleni liścia rozcieraną w ręce,
Nozdrzami chłonę zapach wilgotny i ostry,
A panna ziemia chodzi w zielonej sukience.

Smak piersi odsłoniętych na słońce nad ranem
I słone krople rosy na wzburzonej trawie...
Już w sadach poszły wieści, już plusnęło w stawie,
Podglebie pachnie we śnie ziarnem świeżo sianem...

Zielony szum powietrza, niestłumiony zbliżka,
Jak chłopiec kładzie ziemię, czule szepce słowa,
I całusem przemocą — fiołkami tryska
Ziemia! dziewczyna marcowa.

Wiosną

Rozkwitłe bazy, witki wiosenne,
Zieleńce jasne, trawy soczyste,
Brzozy wyniosłe, wysokopiennie,
Krzaki wilgotne, plamy srebrzyste!

Gąszcze puszyste, spowite we mchy,
Zapachy leśne, świerki żywiczne, —
Liściem leszczyny, kwieciem czeremchy
W dno wzielenione wody krynicznej!

Trznadle, wiwilgi, pliszki ćwierkliwe
W gęstych zaroślach drzewnej uwięzi
Gwarnym świegotem, szczebiotem tkliwym
Roztrzepotane w liściach gałęzi!

Wieś krasnoplota, studzienna, biała,
W zbożach wykwitła chabrem dorodnym,
Śpi, jak poziomka ciężka, dojrzała,
Pod liściem nieba modro jagodnym!

Krajobraz polski

Krzywa wierzba przy płocie, krzywy płot na rozstaju,
Mokra zielen w sitowiu, w sinym gaju — bugaju,
A przy łące jałowce, białe owce na łące,
Jarzębiny, jedliny, niebo ziemią pachnące.

W koleinach drożyna, wronie gniazda na drzewie,
Pośród świerków ćwierkanie, modrodrzewie — modrzewie...
Wiatrak łapie obłoki, które na nim siedziały,
I ucieka, odziany w łachy pól — samodziały.

Zieloniutki, czerwienne, łubinowe i bławe,
Chabrowane kąkolem, pawiem okiem i stawem,
Pola — polska, złożone topolowym półcieniem,
Wykwieczone kwietniami, jesienione złocieniem!

Szumi jesion jesienią, wrzos wrześnieowy słoneczny,
Złotoliście wiatr sypie, niesie zapach jabłeczny, —
A nocami miesięcznie świeci bór litą grzywą,
W niebo, kute gwoździami, bije srebrne strzeliwo!

Mokre światło...

Mokre światło leży na ziemi
W trawie, w liściach, w świeżej zieleni.

Ziemią, sokiem, ziołem nabrzmiewa,
Ciepłym wiatrem wzdycha do nieba.

A na niebie jeziornem pływa
Słońce żywe — błyszcząca ryba.

Złote łuski iskrzą się mokro,
Pryska woda w otwarte okno!

Światło chlusta na usta zbliska,
Dziewczę na ścieżce w szkle się śliska.

Wiadro modre wodą w zieleni
Mokre światło kładzie na ziemi.

Drwale

Twarde życie, twarde życie trwa, —
Toporami, siekierami rąbią drwa!

Świstem ostrza rozłupują tęgi pień,
Zachłyśnięci znojną pracą cały dzień.

Wyschła gardziel, oczy krwawe, chryply głos, —
Bije w korę uporczywie cios.

Toporzyska, siekierzyska sieką drwa,
Sypią drzazgi — raz rozmachem, raz i dwa!

A czasami na zmęczonych oczach — cień,
Pniem na piersi nagle spada ciężki dzień.

Wtedy w zębach zaciśniętych zgrzyta nóż,
Wtedy w sercu, wtedy w myślach tysiąc burz!

Gniewem rozpacz, krwią do serca i do płuc,
Trzeba siły, żeby przetrwać, żeby zmóc...

Twardą pieśnią twardym śpiewem huczy świat!
Hej! mocują się, mocują — tyle lat!...

Wiersz z powodu przelotu nad oceanem

Nad wód ogromem, nad lądami
Jest mroźne szczęście samotności, —
Burzy się, pieni pod skrzydłami
Szumny ocean wolności!...

Nadmorski wicher — gniew przestworza —
Siecze nawprost i usta parzy.
Nie lzy — te słone krople morza,
Które ściekają po twarzy...

Wyżej! radością krwi gorącą
Nad sine pręgi wód przestworu,
Niechaj zagłuszy otchłań grzmiącą
Śpiew triumfalny motoru!

Stopione słońce ciężko tonie
W szkarłatnym barszczu pod wodami,
Burzliwa noc po tamtej stronie
Czarnemi patrzy gwiazdami.

Jest szczęście twarde, szczęście męskie,
Jest lot, którego wiatr nie zniża.
Już widzą we mgle oczy tęskne
Wieżę wielkiego Paryża!

Jaki to ptak wyrajem próżnym
Kieruje górą lot rozpędny?
To tylko płynie sam podróżny,
Człowiek skrzydlaty i błędny...

O rodzeniu chleba, czyli o pisaniu wiersza

Przy stodołach zasobnych wiatr wysoki śpiewa
I od plew ziarna gęste powiewem przesiewa.
W cepami bite garnce dyszą wiatru usta,
Nim na chustę powietrzną sfrunie próżna łuska.

Oraczu! już ci pracy twój wiatr nie przysparza:
Wór pękaty na wozie ciągnie koń młynarza
Nad brzeg rzeki, rozpiętej wstęgą srebrnokrętą,
Modre wiadra lejącą młyńskich kół okrętom.

Rodziła tłusta gleba chlebami ciężarna
Wory ziaren, rzucane między twarde żarna,
By turkotem turbiny przetarły najprościej
Zboże ciemne na mąkę przedziwnej białości.

Huczy w młynie i dudni, pluszcze woda drzewna,
Śpiew dźwigni, jazgot głazów, jak pieśń dzwoni rzewna.
Muzo zboża! o, muzo zbiorów urodzajnych!
Ciał dojrzałych, słów gęstych, snów i przemian tajnych!
Opar ziemny, słoneczny, plon orki dorocznej
Tu przerabiasz na pełnię jasności obłocznej!
Tu żarna toczysz pracą w ruchu ustawicznym,
Mieszając żyto życia z zapachem pszenicznym...

Na zakosach wyrosłe, żółte i oliwne,
Zboże żniwne rozcierasz w tłustości pożywne,
Wytłaczasz miazgę miodną, dla której pożęto
Łan zboża kołyszący w skwarne lipca święto!

Wymodlony rąk trudem, wyczekany żmudnie,
Dojrzewał kłos na polu, stopionem w południe,
Cichnął ciepłym wieczorem, szeptał nocą senną,
Wiośnianym rankiem dymił wiatru falą pienną...

Już zmielony żarnami mlecz ukryty w ziarnie
Wozy białe kolejno zwożą przed piekarnię,
Tam ciasto się zakwasi, narośnie i streści,
Ubite pracą, która żywy kształt wypieści,
I w rozmachu rąk serce obudzi człowiecze,
Choć nie wie jeszcze, jaki chleb z mąki wypiecze...

Długie, długie czekanie od siejby do zwózki!
Głucha troska, lęk tajny przed powiewem pustki,
I modły, które chronią, śpiewane gromadą,
Od moru, głodu, ognia, od suszy i gradu!

Długie czekanie! długie! nim, zakłęte słowem,
Słowo chlebem się stanie zupełnie gotowym!

O, głodni! o, łaknący ziemi wonnych płodów!
Bierzcie chleb i owoce z jesiennych ogrodów,

Przełamcie kromkę drobną, niech starczy na więcej,
Z pięciu chlebów nakarmcie ludzi pięć tysięcy!

Poto ziemię wywraćcał na zagonie długim
Oracz, kiedy, śpiewając, szedł zwolna za pługiem;
Poto siał w skiby ziarna i wróżył pogodę,
Deszcz zamawiał, lub słońce, żeby nie szło w szkodę;

W czas siejby, w czas zbierania pełnym urodzajem
Cieszył serce, jak wiosna cieszy zieleń majem;
Poto z ziemią rozmawiał i wadził się z niebem,
By łąknących mógł dzisiaj sycić gęstym chlebem.

Muzo chlebna, pożywna, świeżym wonna wdziękiem!
Głodnego karmisz mocnym brązowym bochenkiem,
Zęby żują miąsz mączny, pachnący wypiekami,
Ziarnem... siejbą... żniwami... i polem dalekiem...

PRZYPISEK

Poeto! i ty w swoim orzesz gospodarstwie,
I musisz wryć się w życie, nurzać w głębszej warstwie,
Wywraćcać skiby rodne, podgłębne, korzenne,
I ziarna siał jęczmienne, żytnie, albo pszenne;
I tobie powiew — sitem ciągle gęstniejącem
Cedzi ziarna spęczniałe i nasiąkłe słońcem.

Siewco słów urodzajnych, znasz podobne sprawy.
Gdy czuwasz, pełen szczęścia, smutku i obawy,
Znasz ziemię i znasz niebo, kiedy czekasz przed niem
Na dżdżu kroplę w zwyczajnym suchym dniu powszednim.
Przychodzą w końcu żniwa, dojrzałe jak lipiec,
Sam ziarna musisz przemleć i sam w ogniu wypiec,
Żeby wiersz pachniał chlebem i słońca odbiciem,
Sycąc słowem, jak ziarnem, i ziemią, jak życiem!

O budowaniu domu

Gdy szpadle w piach uderzą, w twarde zwarte grudy,
Śpiewaj, muzo, dom nowy! Śpiewaj przyszłe trudy!
Z głębi ziemi garbatej, z pod smugi ziarnistej
Wyrośnie drzewo ludzkie, pion piętér strzelisty.
Wystawi bloki boków na wiatrów okręty,
Korzeniem sięgnie w gębne gębne fundamenty.
Rozpędem architekta i natchnieniem w planie
Z gruzu światem wytryśnie i w rozpędzie stanie.
O, muzo, śpiewaj domy! o, śpiewaj budowę!
Znoje robót, rąk trudy i zdarzenia nowe!
Wiatr zbiera lotne piaski w osypisku śniadem,
Wilgna glina pod ciężkim spoczywa pokładem,
W sinym boru pnie drzewne kryją tęgie zwoje,
Białodrzewie szumiące w modre patrzy zdroje...
Piach gęsty wózki wiozą, topór dzwoni w lesie,

Będą drwa na podporę, na krokwie, przyciesie,
Tartak wodny na belki i na deski przetrze,
Smolny zapach, wkroplony w żywiczne powietrze...
Ułożone ścianami, rude, prędkie cegły
Już piętrami skoczyły, szeregami wbiegły,
I sześcianem stanęły, jak czerwionym złomem.
Domem dumnym pod niebem błękitnie widomem!
Już słońce w blasków miodnym roztopia się skwarze,
Z rusztowania wzniosłego śpiewają murarze
O robotach, o sprawach grudami dźwigniętych,
O granitach słowami w tęgie mury wklętych.
O patrzeniu dalekiem na szczyty podniebne,
Na gwiazdy bardziej bliskie — milczące i srebrne...
Dom dobry będzie chronił od wszelkiej przygody,
Czy żarem słońce piecze, czy wiatr niesie chłody,
Albo deszcz szumi w liściach, albo śniegi sennie
W cichą białość na sannę tulą drogi zmienne, —
W dom dobry przyjdą ludzie, światła w nim zapalą,
Mury jasne i sprzęty spojrzeniem pochwałą,
Korowodem dni żmudnych, pracą i westchnieniem,
I troską, i spoczynkiem, i wszelkiem zdarzeniem
Pieśń powszednią wynucą i życiem najprościej
Poświęcą najpiękniejszą świątynię ludzkości...
Chwała domom, dźwigniętym rozumem i pracą!
Izbom prostym i strojnie świecącym pałacom!
Chwała halom fabrycznym, gdzie ściany dygocą,
Gdzie warsztaty śpiewają czujne późną nocą!...
Chwała domom, jak światom, których nikt nie zliczy,
I światu, w którym mieszka Wielki Budowniczy!...

Duma o Słowackim

Za porohem, hen po Dnieprze
Płynie czajka w wodnym wietrze,
Pluszcze fala, szepce trzcinie:
A jakaż to czajka płynie?

Kto na niskiej usiadł burcie,
Szuka bezdna w krętym nurcie,
Po niezmierzy, po roztoczy
Oczy smutne sennie toczy?

Tratwy spławne, huczne promy
Mija obcy, nieznamy,
Z wiewem siewnym płynie śpiewny,
Wodom-snom najbardziej krewny.

Hej, żeglarzu! zawiń, przystań!
Cicha ciebie czeka przystań,
Wśród zieleni, w topól wieńcu
Jasny dworek przy Kamieńcu...

Na Ukrainie za stepami
Słońce leje się strugami!

Wyczekuje poczta gości, —
Rąk matczynych serdeczności!...

Czemuś w głębi wzrok utopił,
Czy cię miodny szalej opił,
Jaka siła w dal cię goni,
Że wyciągasz ręce do niej?

Czerwień słońca ścieka z wody,
Wyszły srebrne horowody,
Serce gwiazdy nie wysłowi...
Komu jedziesz?... księżycowi?!

Pogardziłeś miłym domem,
Wytęskniony za ogromem,
Głębną wodą, trudną drogą,
Czemu płyniesz — do nikogo?

A ty pieśnią, słów okruczem,
Umiesz mówić z Bogiem — Duchem,
Piorun w ustach serce męczy,
Przekrojone łukiem tęczy...

Zaśpiewali ci anieli
(Anioł nazwał się Anhelli),
Zaśpiewali, wydzwonili
Moc i chwałę wiecznej chwili.

Na tym brzegu pod gwiazdami
Wołamy cię: zostań z nami!
Ponad życie — słowo mniejsze,
Serce błędne — najwierniejsze...

O Mickiewiczu

I

Przapaść... Sto lat... Tak wielkim odcięci ogromem,
Ale z Tobą złączeni, jak z rodzinnym domem,
Tu, na ziemi tej samej, pod tem samem niebem
Żyjemy Twojem słowem, jak powszednim chlebem.
Tacy sami jesteśmy, choć tak bardzo inni:
Bardziej chłodni i obcy, ale mniej niewinni,
Mniej mocni, mniej szaleni, tak samo prawdziwi,
Chociaż bardziej zmęczeni, lecz bardziej szczęśliwi.

Nie szumiały nam słodkie topole jesienne,
Nie pachniały nam noce ciemne i bezsenne,
Nie kołysał nas wicher, gdy szarpał powietrze,
Ani nawet kwiateczki od obłoczków bledsze,
Nie wiły dla nas wieńca na gorące skronie...
Nikt koni nie zatrzymał w nowogrodzkiej stronie...

Burzliwy potok wieku porwał nas, wychował,
Koń groźny pędził z nami i serca stratował,
Jak upiór nas wystraszył, nim zginął, jak Gustaw...
Wdychaliśmy krwi wiele — krew mamy na ustach!
Nam marzyć nie kazano. Broń dano do ręki,
Ćwiczono w marszach śmierci, aż do łez, do męki,

Wypruto z nas kłęb nerwów i mózg nam zatruto, —
Śród trupów macierzanką pachniało i rutą...
Żar przestał nas przepalać a mróz przestał chłodzić,
Mieliśmy wszyscy zginąć i znów się odrodzić.

O czym dziś mamy dumać tu, na miejskim bruku,
Mając piersi pęknięte, uszy pełne stuku,
Oczy pełne milczenia, myśli pełne nudy?...
Razem z Tobą uciekać w krainę ułudy!
Tam obmyć chore serca i zwilżyć powieki.
Sił nabrać i oddechu, by starczył przez wieki,
Potem wrócić już z wiarą i z czystymi zmysły,
W pracy wielkiej podobni szarym falom Wisły. —
Jak mocny zapach róży, która ustom płonie,
Niech miłość nas napelni i jak wiatr owionie,
Niech ziemią nas nakarmi, niech napoi niebem!
Żyjemy każdym słowem tak samo, jak chlebem.

Nasze książki są wszystkie pielgrzymstwa księgami,
Wszyscy z Tobą jesteśmy i Ty jesteś z nami,
Szepczesz nam najtajniejszy ze wszystkich sekretów
Świecąc z bliska, — ogromny filar filaretów,
I mówisz najprawdziwsze, i piszesz najmniejsze,
I uczysz życia, które od wierszy trudniejsze.

II

W dworku szlacheckim z drzewa, lecz podmurowanym,
W ciemnej wieży Aldony, w cichej więźnia celi,
Gdzie czart kusił i słodko śpiewali anieli,
Lub nad brzegiem Świtezi modro malowanym...

W karczmie Rzym, gdzie Twardowski wychylał kielichy,
Na Krymie, kędy błyska lampa Akermanu,
Nad przestworem suchego płynąc oceanu,
Byłem z Tobą, ogromny i ogromnie cichy!

W dzieciństwie jeszcze, pomnę, nad brzegiem ruczaju,
I w śródmieście krzykliwym, zmęczony i blady,
Powtarzałem oddawna tłumione ballady
O Maryli, o zbójcach, liljach i Tukaju.

Na rozmowy wieczorne, gdy ptak nocny sfrunie,
Wypływałem z najgłębszej głębi mego ducha.
Bóg pogardził mędrkami, a słów prostych słucha,
Taki sam w nocy cichej, jak w groźnym piorunie.

Młodość górną i chmurną Twoja pieśń okrutna
Przepaliła mi ogniem piekącym do głębi, —

Żeglarzu, ciągnij rudel! już nic nas nie gnębi,
Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna!

Poezjo! twoja wieczna zabija udręka
I słowa nieśmiertelne ludzką krwią nasycą.
Nad brzegami Świtezi... przy świetle księżycy...
Ktoś chodzi... ktoś wspomina... ktoś tęskni... i klęka...

Radjo

*W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy!
Nikt nie woła...*

Mickiewicz

Śród zielonego suchej trawy oceanu,
Jak łódź samotna, tonąc na dalekim Krymie,
Mijając koralowe ostrowy burzanu,
Słuchaj fali: ktoś woła na Litwie twe imię!

Już iskra elektryczna niewidzialną drogą
Glob obiegała, w powietrze wsiąkła, jak w bibułę,
Już mogą ją pochwycić i słyszeć ją mogą —
Aparaty najczulsze i serca nieczule.

Koncert z Rzymu w Londynie, z Tokio w Kopenhadze,
Ryk syren okrętowych znów na kontynencie,
Razem z giełdą w Berlinie i odczytem w Pradze,
To zmieszany gwar świata, bijący w zamęcie!

W Moskwie słyszą jak pluszcze słodka fala Wisły,
A my, — jak huczy ogień, który ktoś rozpala, —
Tłumie ludzi, ustami chwytających iskry,
Może tu cię połączy elektryczna fala!

Gdy samotny wędrowiec na chłodnej obczyźnie
Słuch natęzał — innego chciał słyszeć wołania,

Innej fali i szeptu, którym serce bliźnie
Umie drzeć, gdy wymowne oczy mgła przesłania.

Gdy ze mnie, jak z anteny, tryskają na wszędzie
Me słowa, zatrzaśnięte na zawsze w iskiec, —
Nie wiem, kto będzie słyszeć, kto ich słuchać będzie,
Tak, jak twoje jedyne małe dobre serce.

Wspomnienie o Żeromskim

W kawiarni, przy stoliku, w świątku literackim,
Gdzie drobna muza pije szklanki czarnej kawy,
Pamiętam, rozmawiano kiedyś o Słowackim
I powszednie złośliwie poruszano sprawy.

Niespodzianie wszedł cichy, wielki i dostojsny,
Spojrzał ku nam milcząca, pełną troski twarzą, —
Ucichliśmy, jak dzieci, które próżno gwarzą,
Gdy kroki ojca spłoszą gwar dziecinniej wojny.

Łaskawie usiadł z nami i mówił najprościej,
Chwaląc film «Atlantyde» z przyjaznym uśmiechem.
Miał wtedy w oczach mądrość najgłębszej miłości
I twardą pracę, która umie walczyć z grzechem.

Na czole myśl cierpliwa wryta jest blizną,
Serca łomot się głuży rękami obiema.
Ale wiem — Atlantyda jest marzeń ojczyzną,
Atlantyda jest Polską, której jeszcze niema!

Już nie przyjdzie tu więcej ten, który swe ręce
Jak Tomasz wkładał w rany bolesne i chore, —
I w rozkoszy piekielnej, jak w piekielnej męce,
Musi światła mieć więcej. — «Żono, odsuń storę».

Już żałobne chorągwie targa wiatr jesienny,
I głuchy dzwon na trwogę jęczy w całym mieście.
— Już sami zostaliśmy w czuwaniu bezsennem...
Zabierzcie czarną trumnę i dalej odwieźcie.

Wykonać nam testament zostaje ostatni,
Gorące proste słowa, — milczące najgłośniejsze, —
W pocałunku ojcowskim lub uścisku bratnim
Zwiastujące — jesienią budzone przedwiośnie.

Po tym trudzie straszliwym pot spływa na czoło.
Niech wieczny odpoczynek zdejmie wieczną troskę.
Oddajmy wielką pracę hołd Jego popiołom,
Na serce, które pękło, połóżcie mu Polskę.

Ciało

Naczynie nędzne i niegodne ducha,
Ciało człowiecze nagie i bezbronne,
Powłoko serca niepewna i krucha,
Którą wysiłki zamieszkały płonne!

Nieprzeliczona czyha wielość chorób
Z powietrza, ognia, napoju i strawy, —

Jeśliś stworzone według boskich wzorów,
Ciało człowiecze, — jakże wzór ten słaby!

Ani się ukryć, ani umknąć uda
Klęskom przedwczesnym zawsze i nieznanym;
Żadne cię leki, ani żadne cuda
Nie wydrą śmierci planom zawikłanym.

Podobne trawie, którą ziemia gości,
W bólu zrodzone, poczęte w rozkoszy,
Na łasce świata i własnej słabości
Byt okupujesz kosztem nędznych groszy.

Zanim cię młodość wykarmi do syta,
Soki tve pędząc drogą dookolną,
Ucząc miłości, która w niej ukryta,
Poczujesz starość chłodną i powolną.

Trucizny słodkie, które duszę koją
I myśli krzepią, — czemuż tobie szkodzą?
Jaką goryczą, lub słodyczą swoją
Duszę połączą z tobą i pogodzą?

Ty jedno, którym moja myśl porusza,
O, ciało, ciało, pulsujące, żywe, —
We krwi gorącej wypławi się dusza,
Słodkiej miłości narzędzie szczęśliwe!

Moja mistrzyni

Ani Sokrates mądry i wesoły,
Ni Platon wzniosły, ni Arystoteles,
Ani prorocy, ani apostoły,
Ani Faust chytry, ni Mefistofeles.

Ani Dant cudny, ani Heine błogi,
Ani Mickiewicz wielkością wspaniały,
Nie stali przy mnie na początku drogi,
Którą mi burza i cisza owiały.

Ale jednemu obrał przewodnika,
By mnie prowadził, napędzając siłą,
Tam, gdzie najwyższa mądrość nie przenika,
Gdzie wszystko będzie i gdzie wszystko było.

On to, czy ona w przestrzenie najczystsze
Wiodła przez otchłań, którą grzechy czynią,
Umiłowana ponad wszystkie mistrze,
Miłość, co jedną dla mnie jest mistrzynią.

Jak dziecko matce rodzonej podobne,
Chcę upodobnić do niej każde drgnienie,
Wszystkie minuty w cierpienia zasobne

I wszystkie słowa i każde milczenie.

Przez nią tłumaczę ciał gwiazdnych obroty,
Drzew rozkwitanie, rzek fale burzliwe,
Ciszę wieczorną, księżycy dysk złoty,
Wszystko żyjące i wszystko nieżywe.

Przez nią pojąłem życie, które błogo
Umie na wieczność poza śmierć spojrzeć,
Jeżeli w życiu było żyć dla kogo,
I jeśli będzie za kogo umierać.

Piotr

Kiedy nad brzegiem ciemnego jeziora,
Które mnie głębią nęciło ogromną,
Rzucałem sieci onego wieczora,
Światłość ujrzałem straszną i cudowną.

On — wśród obłoków i płomieni wieńca
Stąpał po wodzie kłębiącej się wrzątkiem.
Twarz moja ślady straciła rumieńca,
Gwiazdy pogasły, jak przed dnia początkiem.

I nagle słowa usłyszał szepnięte:
«Porzuć te sieci, niech dłoń się nie trudzi,
Próżne to sprawy, któremiś zajęty,
Dzisiaj nie ryby masz łowić, lecz ludzi».

Milcząc, bezradnie wzruszyłem ramieniem,
I rzekłem, swemu nie wierząc głosowi:
O, Panie, usta pałący płomieniem,
Co mam uczynić? czemu będę łowił?

Ale On ogniem słodko mnie przeraża,
Rzecz i światłem obdarza mnie nowem:

«Co jest cesarskie — oddaj dla cesarza,
Żyjąc nietylko chlebem, lecz i słowem».

Znajdując myślą wielkie zrozumienie,
Milczałem, dalszych wydarzeń ciekawy,
Pojmując sławę wielką nieskończenie
I miłość Twoją, większą od Twej sławy.

Golgota

Błądząc po mieście tym czarnym wieczorem,
Jak nad brzegami ośleplej czeluści,

Wołam cię sercem osłabłem i chorem:
Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?

Mury kamienne stłoczyły się przy mnie,
Domy nieżywe, milczące, jak groby, —
Może w śmiertelnym wysławi cię hymnie
Parasol — sztandar deszczowej żaloby?

W głębi bezdennej zamknięty, jak w studni,
Chrypiły od krzyku i niemy w boleści,
Wołam: niech przyjdzie! niech pierś mi zaludni
Burzą form swoich i falą swej treści!

Straszna samotność! w tem mieście znikomem,
Które jest górą i znowu otchłanią, —
Wołam w milczeniu — i noc jest nad domem,
Jak gdyby wszystkie dni tęskniły za nią...

Rzecz o poezji

Jeśli nie można patrzeć obojętną twarzą,
Czy płakać? lez już niema i więcej nie parzą,
Nie rozczulę westchnieniem i jękiem nie zbudzę, —
Już westchnienia są obce i lzy wszystkie cudze.
Pierś tłumi łoskot serca, ból usta zaciska,
W otchłanie oddalenia spada ziemia bliska,
I tylko oczy, błędną skierowane władzą,
Spojrzą nagle — i sekret spojrzeniem wydadzą.
I znowu nagim wargom, głodnym od milczenia,
Pragnę słowa zarzucić, jak płaszcze z płomienia!
O! serce już omdlewa i duszę zachwyca,
Czy przyjdiesz, jako złodziej, czy jak błyskawica,
Czy podasz usta wdzięczne, czyli w dzień spotkania
Śmiertelną dłoń mordercy do ucałowania —?
Ty władzą nierozumną wypadasz z ukrycia
I rządź naszą śmiercią w samym sercu życia,
Jak na skałę rzucone ziarenko gorczyicy,
Wyrastasz nad głowami drzewem tajemnicy!
Przypłyn żywiołem groźnym i jasną łagodą,
Daj nam języki ognia, ocuć żywą wodą,
Przybądź do domów ludzkich, otwartych naścięzaj
I wysokim urokiem czaruj i zwycięzaj,

Podszeptnij słowa klęski, do triumfu namów,
Poezjo, niespodziana, jak wybuch wulkanów!
Szukałem cię w niebiosach zimnych i otchłannych,
Na miesiącach wieczornych po gwiazdach zarannych,
W szumie drzewnym na wietrze, w modrowodej toni,
W skupisku czarnomiejskiem, w okrutnej symfonji
Skrzypiących wozów wojny po miedzy bezkresnej
I w zadumie milczącej i w ciszy bolesnej...

Byłaś w czerwcu w soczystej migotliwej trawie,
W morzu niebnem witałaś krzyczące żorawie,

Dzwoniącą słonecznicę jarem bezobłocznym
Pędziłaś nad jeziora srebliwem urocznym,
Górnym deszczem po skalnej dźwięczało przełęczy,
Zaręczonej z barwami dwuob ręczą tęczy,
Wiewem-śpiewem, zapachem przez ziemię szczęśliwą
Wyciśnięte ustami spijałaś wiośniwo,
Żeby czarem pijaństwa w kielichy dni przelać
Ciemne wino, tłoczone przez rozumną czeladź!

Gdy lasy dni szumiące w pniach drzenie przenikło,
Weszłaś w dom pracą żmudną, znojem, sprawą zwykłą,
Krzątaniem, siejbą, żniwem i gradem i młócką,
I zdobyczą i klęską i znów nędzą ludzką,
Litosnem pocieszeniem, darem miłosiernym,
Najdrobniejszą radością pod niebem bezmiernem!
Patrzałaś na porytą w glebie rowów matnię,

Na złamane przy drodze kolisko armatnie,
Na gruzy miast, na wioski spalone pożogą
I na usta nieżywe, uśmiechnięte błogo
Do ciebie, ach, — do ciebie, — więcej do nikogo...

Widziałaś, jasnowidna, doczesne a wieczne
Przeorania gromadne i wiosny społeczne,
Bujne pędy, zbroczone liściem krwawem, rdzawem,
Jak wrzos września, jak zwiędłe sitowie nad stawem,
Gdy w górze syczał ogień, gdy spadał z pośpiechem,
Gdy huknął pod bugajem echem i wyśmiechem,
Kiedy trzasnął drzazgami w krążeniu zawrotnem,
Przyszło tobie umierać na polu samotnem...

Czerpałaś rozpacz wiedzy po stokroć okrutnej,
Od wszystkich smutków świata jeszcze bardziej smutnej,
Bardziej grzesznej, niżeli wszystkiej ziemi grzechy,
Lecz pełnej przebaczenia, jak pierwsze uśmiechy...
Naumiało cię życie nędzy nielitosnej,
Beznadziei ostatniej i zimy bezwiosnej,
Kłótwami, łzami, gniewem w słodkich rymów państwie
Groziło ci po nocach w samotnem wygnaństwie!
Opiała woń fjołków godziną wieczorną
Nad ścierwem ziemi wiała tęsknotą upiorną...
Łamałaś krzykiem wieczór w oczach pełnych zgrozy,
Cięłaś cichcem łańcuchy, szarpałaś powrozy,
Biłaś burzą w brzeg ziemi, biczem ognia smagan,

I obłąkał mi serce natchnienia huragan,
Ażebym był pod mocą szczęsną twego ducha,
Jako motyl, ukryty pod liściem łopucha.
Już mi dzisiaj dzień każdy i każda noc w głębi
Ciebie, najslabsza siło, sercu dziewosłębi,
Już mnie twoje spojrzenie najsmutniej pociesza,
I morze łez rozdziela, jak laska Mojżesza.

Uderz mnie burzą ognia i oddechem spopiel!
Niżli miałbym przez myszy być zżarty, jak Popiel.
A jeśli sercem życia jestem tobie winny,
Te puste słowa rozwiej jak piasek pustynny,

Lecz, jeśli twoja złuda najczarowniej błądzi, —
Rzucę ciebie pod nogi życia, które rządzi, —
Lecz, jeśli masz zatruty kwiat słowa na wardze, —
Poezjo! ja twojemi śpiewami już gardzę!...

Nowi bogowie

Witajcie, nowi bogowie! witajcie nowemi czasy!
Apollo przy tkackim warsztacie, Zeus w elektrowni zaklęty,
Atene wielkich przemysłów, sił świeżych pełna i krasa,
Hefajstos w piecach fabrycznych, Neptun pędzący okręty!

Nowy Prometej górników, ogniem podziemnym objęty,
Skały rozdziera torpedą, straszliwe wszczyna zapasy,
Merkury łądem i wodą szumiące przewozi lasy,
I Nike domy wystawia, piętami w niebo dźwignięte!

Dzieło wytwarza się nowe, poczęte myślą i pracą
I młoty wałą w kowadła, turkocą koła zębate,
Ziemię przekształca potęgą, goniąca chmury nad światem.

Gwiżdżą syreny zwycięskie, nową religję tłumaczą:
Witajcie nowi bogowie! W dojrzałym zjawieni cudzie!
O, muzo, śpiewaj przemysły! o muzach śpiewajmy, ludzie!

Wisła

O, spracowana szara silna robotnico,
O, pluszcząca falami powszedniemi Wisło!...
Śniade brzegi omywasz, sprawnym służysz przemysłom
Dysząca tonią modrą, pienną tajemnicą!

Poorana wiosłami, kręcisz turbiny wodne,
I czarna woda kipi przy młynach skrzydlatych.
Na grzbiecie dźwigasz statki żaglowne, ładowne,
I krętą wstęgą wiążesz z ziemią morskie światy.

Na złotych odpłóczyskach stanęły strażnice
Wypatrujące falę, szumną falę przyszlą,
Gdy warsztaty zadudnią, jak pełne tętnice.

Wierna rzeko! tratwami splewna cicha Wisło!
Robocze toczysz pędy i oddychasz blisko
W dzień — bława, w nocy — modra, srebrna — pod księżycem...

Górny Śląsk

Słoje czarnych pokładów, grube żyły kamienne,
Wylęgle w szybach mrocznej kopalni na Śląsku, —
Stężałe knieje leśne! paprocie tęgopienne!
Torfowiska przed wiekami jeziorne i grzązkie!

Tajemnicze drażone weny podziemne,
Czarny antracyt słońca, łupany w korytarzach,
Krany żelazne w murach wonnych i ciemnych,
Uśmiechy rozkwitające liljami na twarzach!

Wózki wiozą węgiel, wapnem pokropiony,
Górnicy w kopalniach dzwonią w ściany młotami,
W podziemiach lampki płoną, jak lampiony,

I woda chlusta wiadrami, dzbanami,
A na powierzchni — miału czarnego tonny,
Iskrzy się słońce dzienne, jak nieba węgiel dzwonny!

Gdynia

Płyną kupieckie korabie po gęsiach morza spienionych.
Na ciemnoblawej powłoce ryją koryta dziobami.
Skarby zasobne przywożą, zdobyte w odległych stronach,
Ciężkie rzucają kotwice w prostej, głębokiej przystani.

Cizba robocza w pośpiechu, ludzie biegnący, zdyszani,
Krany chwytlive podnoszą, brzemień zdejmują lewary,
Krążą nad brzegiem parowce, huczają syreny pieśniami,
Pędzą pociągi po dunach, z kraju wywożą towary.

Hej, wy okręty czarowne! domy płynące, ciężarne!
Śrubą wkręczone w żywioły, węglem gorliwym żywione,
Spieszcie z dalekich przestrzeni w przystanie gęste i gwarne.

Płyńcie, wichrami spędzone, płyńcie, wodami wzniesione,
Płyńcie, płyńcie, okręty, w dymy wijące się, czarne,
Łąd nasz powita was śpiewem, rąk trzepocących miljonem!...

Wynalazki

O, tajemnicze ręce, palce niewidzialne,
Obracające motory, krany, dźwignie, okręty!
Pieśni powietrzne! hymny śpiewne i pochwalne,
O, natchnienia, zaklęte w proste mądre sprzęty!

Aparaty codziennie rodzą rzeczy zachwyte,
Promienie przenikają mury, serca i domy!
Holendry latające w żywiołach błękitnych,
Kłębią się pod soczewką wszechświata ogromy.

Żelazne lewiatany szybują w bezmiary!
Rumaki, uniesione na dywanach lotnych!
Instrumentów magicznych niewysłowne czary...

Już góry skaczą w morze mocą ludzkiej wiary,
I zorze wybuchają, jak święte pożary,
Pod spojrzzeniami ludzi tęskniących, samotnych.

Przemysły

Chwała nafcie źródlistej płynącej w cysterny,
I węglom, wyciąganym z łona czarnej gleby,
Młynarzowym strumieniom, siłom miłosiernym,
Smugom rodnym, płodzącym zbożne gęste chleby!

Chwała rzeczom, czynionym dla ludzkiej potrzeby,
Maszynom, pełnym trudu, pilnej pracy wiernym,
Tratwie spławnej, okrętom wśród nocnej koleby,
Śmigłom, wiosłom i szynom w rozpędzie niezmiernym.

Niech twórczą żarliwością warsztaty zahuczą,
Zaszybują pociągi i zadudnią miasta,
Kiedy wichry natchnienia nowych dzieł nauczą, —

Największa sprawa ducha przed nami urasta,
Już pęcznieje rodzeniem i świeci, jak gwiazda,
I dzieło w niej dojrzewa, jak piorun pod tuzą!

Łódź fabryczna

Warkocze dymów kłębam nad Łodzią czarną płyną,
Robocza kurzawa ulic w niebo uderza ofiarnie,
Czeszą je w górze szczerbate grzebienie wzniosłych kominów,
Wszystkie warsztaty turkocą, palą się wszystkie latarnie.

W kościołach czerwonych fabryk krążą pospiesznie i gwarnie
Pasy szumiące i dźwignie i dyszą płuca olbrzymów,
Spieszą się tkalnie, przędzalnie, wrą kolorowe farbiarnie
Pieśnią twórczego rozpędu, tryskają strofami hymnów!

Kwitnie w motorach i syczy błękitny sen — acetylen,
W południe dzwoni hejnałem tysiąc blaszanych syren,
Na czarnych walcach owite rosną radosną potęgą:

Sukno, alpaga i korty, grube włochate marengo, —
W halach fabrycznych włókniarze stęsknione unoszą twarze,

Przy nabożeństwie warsztatów turkocą maszyn ołtarze.

Jak pracują warsztaty

Fabryka, fabryka wre, wielki obraca się krąg!
Równy, miarowy stuk. Dygoce i dudni dom.
Cicho rozbrzmiewa śpiew, i grają tysiące rąk,
Z szelestem spieszy się pas, spływa w rozpędzie jak prom.

Skłębia się, wije się nić, wypruta nocami snom,
W blasku ziejących lamp rozkwita na wzorach pąk,
Błąka się wątek wkrąg, zębatym ucieka skrom,
Miedziany uderza łom w syreny dzwoniący gong!

Przędzy urasta wał barwnym dywanem łak,
Warsztatów grzmiących war żarliwą toczy się grą,
Śruby wśród wiru kół zęby o zęby trą...

Rusza się prosty mur — tyle żelaznych rąk,
Z niebios wiszący kran ziemię pierścieniem sprzął,
Bije tajemny prąd, siły ogromne prą!

Do majstrów

— A jak to się, tramwajarzu, korbą kręci?
— A jak to się, motorniczy, włącza prąd?
Hej, po szynach twa maszyna dalej pędzi,
Ale dokąd, przyjacielu, ale skąd?

— A jak to się wątek łapie, panie majstrze?
Gdy czółenko po osnowie błyska w krąg?
Przy warsztacie stoję, — patrzę, — jak w teatrze,
A ile tu kółek — ząbków, ile rąk?!...

W hucie szklanej, — czy to prawda? — jak na uczcie,
Po świetlicy szkło się jarzy — blask i huk!..
— Hej! pokażcie mi to wszystko i nauczcie,
Żebym z wami cudowności poznać mógł!

Ja tak samo znam osnowę i mam wątek,
Prądy włączam, szkło roztapiam — w wierszach mych!
I dlatego, — zauważcie na początek:
Ze słów moich wstaje ogień, pędzi wicher!

Baterja

Jeżeli razem złożyć cynk i miedź z żelazem
I zanurzyć do kwasu żrącego metale,
Wtedy zygżakiem iskry drgną tajemne fale,
Wywołane z baterji odwiecznym rozkazem.

Tak samo, jeśli wyraz ułożyć z wyrazem,
Zwilżyć krwią i przetopić w najszczerzym zapale
I twardej poddać próbie, jak hartowne stale,
Błyśnie wiersz złotem, cynkiem, miedzią i żelazem.

Magnetycznych pierwiastków bogata rozliczność
Gromadzi moc tajemną, co nagle wytryska.
Prądem płynie do serca poetycka iskra,
Jak elektryczność jasna, drżąca elektryczność...

Zdrada

Przybiegła zdyszana, krzycząc wniebogłosy,
Palacz na dworcu całował białe ręce...
Tysiąc katastrof, szarpanych za włosy,
Włóczył semafor i zabijał w męce.

O, patrz, jak cierpi! płacze i rozpacza,
Kłęcząc, upada na ramiona szynom...
Lokomotywo! Kochanko palacza!
Ten czarny człowiek zdradza cię z dziewczyną!...

Oda do wolności

Uciska mnie łapa ciężka, jak dom,
Wrastają we mnie potworne korzenie, —
Gdzie jest, ażeby uderzył, grom
W przestrzenie, w wolne przestrzenie?...

Kiedy mi słówka zdejmują z warg,
Kleszczami ściskają, wtlaczają do skrzyń,
Nie umiem powstrzymać klątwy i skarg:
O, zmoro straszliwa, — zgin!

Wszystko mi jedno kto depce,
Czyj but mi usta uciska,
Słońca nie będą widzieli ślepce,
Choćby ich grzało zbliska!

Wolności słodka i wściekła!
Burzo straszliwa! grzmiąca jak dzwon!
Z jakiego nieba, z jakiego piekła,
Z jakich powitam cię stron?...

Kto mi twą żagiew rozniesie
Do wszystkich domów i mieszkań?
Która wiosna i która jesień,
I jaka sprowadzi cię ścieżka? — —

Niema cię w żadnych planach,
Niczyje nie spiszą cię pióra, —
Ale przyjdiesz któregoś rana,
Jak do człowieka góra.

Wtedy poznam cię mądrością
Nieruchomych drzew nad wodą, —
Wolności, — tchnąca wolnością!
Wesoła, zielona swobodo!...

Raju, raju stracony,
Co chwila odzyskiwany!
Wietrze wiejący na strony,
Wietrze szczęśliwy, pijany!

Przez chmur, wichrów kołowroty,
Przez mrok, jaki przemoc spiętrza,
Już przebijasz swoje loty,
Wolności żywa, największa!

O, upojna marsyljanko!
Karnawał nad świata kołem!
Pachnąca nie krwią, lecz rumiankiem i macierzanką,
Wolności! do ciebie wołam.

Ahaswer

— Kto jesteś, smutny przybłądo?
Cień twój nad nami urasta.
Owiany ciemną legendą,
Runąłeś na nasze miasta.
Wydany losom na pastwę,
Umęczony ostatnią mordęgą,
To tyżeś, — wieczny Ahaswer?
To tyżeś, — Narodzie-Księgo?

Otwórz swe serce i spojrzysz głęboko,
Powiedz, czyś żywy i czysty,
Czy w piersiach masz duszę Szyłoka,
Czy cichą i śpiewną — psalmisty?
Czy to prawda, że wszystko możesz
Za srebrniki, za krew człowieka,
Bo pokazał ci prorok Mojżesz
Nie niebiosą, lecz ziemię zdaleka?
Czy żądzą chciwą przeżarty,
Przepędzany pogardą i biczem,
Jesteś słaby i jesteś martwy
I już ducha nazywasz niczem?

Rozproszony, jak garście piasku,
Świat straciłeś i świata nie masz.
Czy po tobie w różowym brzasku
Nad rzekami płakał Jeremiasz?
Czy przez ciebie, strudzony wielce,
Tamten słuchać kazał i wierzyć,
Kiedy złote stawiałeś cielce,
Żeby w prochu przed nimi leżeć?

Gdzie proroków twoich słowa żywe,
Twoją męką karmione i żalem?
Jak Babilon legła, jak Niniwe,
Utracona twoja Jeruzalem!

Nic nie zrówna się z twoją rozpaczą,
Twego smutku nie ogarną niebios!
Stoisz cichy przed murem płaczu,
Jako wdowa nędzna i bosa...

Już swarliwy i już milczący
Nie dojrzałeś, gdzie padła zguba,
Kędy płonie krzak gorejący?
Dokąd sięga drabina Jakóba?

Niech rozgrzeszy cię ból za twe winy,
Niech cię ogień męczarni oczyści, —
Słuchaj! Bóg twój jest Bogiem jedynym
I w miłości i w nienawiści.

— — — — —
— — — — —

Strudzony tułaczka błędna,
Wróciłem znów na to miejsce;
Ale wszędzie jest tylko jedno:
Moje biedne obłąkane serce...
Słyszę, — płaczą, płaczą za ścianą,
Gdy po nocach, straszony snami,
Budzę się, jakby mnie chciano
Ukamionować klęskami!

Błądę po świata ogrodzie,
Gorzkie połykam łzy.
A po drogach szarpią mi odzież
I szczekają ogromne psy.
Boję się, boję się psów!
Rzucają się zgrają wściekłą.
Uciekam. Uciekam znów.
Uciekam przez całe piekło!

Najsamotniejszy na świecie,
Z chorem i błędnym sercem,
Wędruję przez tysiąclecia
I wracam znów na to miejsce.

Na zawsze do ciebie się przyznam,
Ziemi, którą niebo przeraża!
W każdym kraju jest moja ojczyzna,

I mam groby na wszystkich cmentarzach!

Wszędzie bliski, wszędzie daleki,
Przechodziłem przez wszystkie drogi.
Już stulecia podniosły powieki,
Patrzą na mnie oczyma trwogi.
Nie umarłem! nie! nie umarłem!
Nie zabiły mnie tortur żelaza!
W serca, w mózgi sercem się wżarłem,
Niewidzialny, jak sen, jak zaraza.

Pieśń o kuli ziemskiej

Stara ziemi, bryło garbata,
Porośnięta lasami, brodata,
Wyłysiała na stepach, zapłakana wodami,
Dokąd pędzisz pomiędzy gwiazdami?

Kulo pękata, nabrzmiała
Tętnicami gorącego ciała,
Pulsująca drgawkami, roztańczona szeroko,
Ziemi twarda, cierpliwa opoko!

Czym popchnięta oddechem
Spadasz w otchłanie z pośpiechem,
Biczem wichrem skręcona, lecisz w bezmiar zamknięty,
Głowo-ziemi! łbie wściekły i ścięty!...

Tłumy, jak wszy cię oblażyły,
Przeżalone, zapatrzone w gwiazdy,
Tłumy białe i czarne, mrowie żółte, bronzowe,
Wichry, sępy, straszliwi bogowie!

Raso biała, Bracie Bładolicy!
W elektrycznej zasiadasz stolicy,

Rządzisz ziemią kulistą, jak maszyną rozpędną,
Nad przepaścią kołowrotną i błędną...

Szybkim działem, niewidzialnym prądem
Rządzisz morzem i wiatrem i lądem, —
O, zdobywco szalony wirującej planety,
Komu kradniesz śmiertelne sekrety?

Wynalazkiem, sposobem, rachunkiem,
Czarem wiedzy, jadowitym trunkiem,
Sięgasz w niebo gwiazdziste grzmotem — błyskiem okrutnym,
Ale sam jesteś głodny i smutny...

Tamten Słońce Wschodzące ogarnia,
Cicho świeci, jak żółta latarnia,
W różowego przedświtku kołyszącej się łunie,
Tamten — cichy, jak sen, Sakja-Muni...

Już się budzi żarliwą modlitwą,
Zaczajony, jak człowiek przed bitwą,
Kosookiem spojrzeniem i mądrością zaklętem,
Dzwoni — dzwoni dalekim tętentem...

Bóg murzyński, nagi ludożerca,
Czarnem sercem do czarnego serca
Zmierza cichcem, uderza i przebija oszczepem,
Swojem szczęściem okrutnem i ślepem!

Skacze w górę, okręcony tańcem,
Że z radości stał się obłąkańcem,
Że jest młody śmiertelnie i rozkwita nad ranem
Drzewem chlebnem, kauczukiem, hebanem...

Przed dymiącem na wietrze ogniskiem,
Uśmiechnięty jutrzeńki rozbłyskiem,
O, Mustangu Ognisty! Czerwonopióry Sępie!
Z tomahawkiem już czyhasz w ostępie...

Hej, ziemio, ziemio spęczniała!...
Gwiazdo błędna! gwiazdo wspaniała!...
Zanim bombą wybuchniesz, ogniem snów, dynamitem,
Wyśpiewamy cię niebem i świtem!

Do reportera

Reporterze,
Węszący sensację
W tłumie rojnym
Na ulicy gwarnej,
Lubisz spadające samoloty
Kochasz katastrofy pociągów,
Upaja się dech niespokojny,
Pośpiech serc bijących, jak młoty,
Wypadki dnia,
Przeżycia miasta,
Wszystko przed tobą urasta
Jak niewidziane potwory
Z samego dna,
Wypuszczone z klatki historii.
Reporterze,
Szukający wcielonej zmy,
Pragnący wstrząsu,
Który potrafi przerazić,
Wypadki toczą się w glorii
Niezwykłe i niesłychane!
Kochasz bandytę

Z dwoma brauningami w rękach, —
Kiedy salwami strzela w tłum, — —

O, patosie ulicznej gonitwy!
Ciało przechodnia wijące się w mękach...
Wrzawa i szum,
Popłoch modlitwy,
Wygrywanej dzwonekami tramwajów...
Widziałeś sensację — kochankę,
Gdy skoczyła na szyny pod kolej,
Ta ospowata dziewczyna
Bryznęła krwią,
Krew zostawiła plamy,
Jak witrjolej
Na jedwabnej sukience damy.
Detektywie,
Nie szukaj zbrodni,
Nie szukaj dreszczu, który daje moc jej,
Spojrzyj prosto w oczy przechodnia,
A spłoniesz w cudownym podziwieniu
Nabity dynamitem emocji!
Węszysz krew,
Patrzysz dokoła jak szpieg,
Czuwasz po nocach:
A może się zdarzy!
Patrzaj,
Sensacja czai się przy tobie,
Jak zwierzę liże ci ręce,
Sięga do twarzy,
Błaga o jedno spojrzenie,

Przybywa co chwila więcej,
Tłoczy się nawał sensacji,
Chwytaj!
Czemprędzej chwytaj!
Chowaj po kieszeniach,
Nabieraj do czapki, do ust,
Prędzej, prędzej!
Starczy na miliard nowin,
Na wszystkie gazety świata, —
Wszystko ci powiem!
Patrzaj,
Budują dom,
Gromadzą cegły,
Codziennie rośnie piętro,
Żarliwa robota wre,
Dzieje się powszechne święto!
Wyżej, wyżej!...
Uderzają fale sensacji,
Życie pomaga snom,
Wioną powiewy potężne,
Wiewy niewidzialne i tajne,
Pełni się sprawa żywa.
Tyle cudowności przybywa!
Reporterze! biegnij do redakcji
Drukuj dodatki nadzwyczajne:

— Wybudowali dom!
— Wyszła z warsztatów lokomotywa!

A nocą
Na jasnej fabrycznej hali
Klawikordy maszyn turkocą,
Rosną ogromne bele,
Z chaosu wypływa ład, —
Szaleją z radości, szaleją!
Wyślij depesze
Na cały świat:
Na warsztatach wczoraj utkali
Tyle i tyle, — —
Rośnie bogactwo
Warstwa za warstwą
W pracy żarliwej,
W kipiącej sile
Trzęsie się powszechne gospodarstwo!
Prędeż, — —
Zakładają kable,
Rzucają mosty,
Rodzą się nowe okręty,
Ucieleśnia się tysiące marzeń.
Tyle radości!
Prędeż, — —
Ukazują się nieczytane książki,
Wynalazki otwierają niebo,
Nie nadążysz filmowi zdarzeń,
Powszechnemu Postępowi Pracy!

Radosną nowiną,
Strofami — hymnami,
Pieśnią wysoką żywą
Rośnie powszechna sprawa,
Słowa czynami płyną,
Twórczość tryska jak lawa, —
O dziwo!
Dziwo!

Inżynier i poeta

INŻYNIER:

Poeto! wreszcie się zastanów,
Za własną duszę pacierz zmów...
Już bliski szum aeroplanów
Zagłusza dźwięki twoich słów.
Kto zechce z tobą w górę gnać
Na skrzydłach marzeń i Pegaza,
Kiedy ten — z glinu i z żelaza, —
Mój rumak nie chce w miejscu stać?
Na wicherze lecę śmigłą racą,
Piję ocean, łykam ład,
Zwycięzam żywioł, zmieniam prąd

I mocną ręką ster obracam.
Powiedz, czy nie jest bardziej cenne,
Niż twoje chwile zmienne, senne,
To, żeś naprawdę w chmurach znikł?
Ze mną polecisz wolnym sportem
Wygodnie, mięko i z komfortem,
Spływam przed każdym większym portem,
Masz towarzystwo, grację, szyk...

Z nas dwóch — ja zbliżam się do gwiazd,
I ja zakładam stopy w tęczę,
I ja się w twojem słońcu wdzięczę,
Do najpiękniejszych płynę miast.

To wszystko, wszystko jest prawdziwe,
Że chwytam wichrów dumną grzywę,
Że z góry patrzę na ten świat,
Że śmierć i życie łączę żartem,
Jak finish z rozpędzonym startem,
Że słowa prawdy niezatarte
W przestworzach kreśli lotu ślad...

A ty? umysłem rozpalonym
Na chwilę sięgniesz w moje strony,
I spadasz grzeszny i znużony,
Żeby na nowo w sercu snuć
Tęsknotę swoją niepokorną,
I burzę uczuć swych upiorną,
I żeby ogniem słowa skuć.

O, ja mam lepsze aparaty,
Które przenoszą myśli wlot.
Ty często pragniesz zdobyć światy,
A trafiasz kulą w płot.

Jak bardzo jesteś niewspółczesny!
Prześciga cię mój pęd bezkresny, —
— — Motocyklopów idzie tłum!
— — Miljarda śmigieł straszny szum!
A nad twą głową smęt bolesny...

POETA:

O, mój daleki krwawy śnie!...
O, moja ciężka winna czaro!...
Prześniłem próżno wszystkie dnie
Goryczą, szczęściem i ofiarą!
Prześniłem noce, przebyłem kres,
Doszedłem szczytów, których nie znam.
Ach, ile łez! ach, ile łez
Okryła skrzydłem przepaść gwiezdna...
Łzy nie pomogą, nie zmoże grom,
Słowo prawdziwe w sercu się pocznie.
Na jakiej skale stanie mój dom,
Mój dom szczęśliwy bezobłocznie?...

INŻYNIER:

O, młodociany entuzjasto!
Rozepnij skrzydła. Podaj rękę.
Fruniemy razem ponad miasto
Oglądać z góry jego mękę.

I my, poeto, dwa mieszcuchy,
Jak romantyczne lecąc duchy,
Ujrzymy piekło, nędzę, nudę,
Zbrodnię i przemoc i obłudę,
I usłyszymy głuchy grzmot.
To wzdłuż, to wpoprzek ponad miastem,

Fruwając z sercem, jak z balastem,
Które obciąża dumny lot...

Zanim poezji zniknie zwid już,
Pamiętaj, że jest prawda szczerą.
Lepszy jest Roentgen, niż Owidjusz,
I Pasteur większy od Homera.

Przemija twoja próżna glorią,
Zasługa bierze w świecie prym,
Ja zbudowałem sanatorja
Piękniejsze, niżli rym.

POETA:

Ach, wiersze, wiersze! kto je czyta?
Próżno me serce o nie pyta,
Naprawdę pisze tysiąc rąk
Tyle zbytecznych słodkich ksiąg...

O, mój Wergili! mój Horacy!
Ukaż mi swą poezję pracy,
Przemysł, maszyny, rozpęd, szal...
I żartem proszę cię. Wergili,
Pozostań przy mnie od tej chwili,
Żebym się z tobą razem śmiał...

Masz rację, pyszny inżynierze,
Zaproponuję ci przymierze, —

Do ciebie dziś należy świat,
A do mnie, do mnie — ty należysz,
Jeżeli słowom-gwiazdom wierzysz,
Wykwitłym z wczesnych lat...

O, dosyć, dosyć, dosyć wierszy!
Olbrzymie życie wstaje pieśnią nową!
Mów przyjacielu-inżynierze pierwszy,
Do mnie należy *Ostatnie Słowo*.

Zaczarowana karczma

Pędzi wiatr po ściernisku, krzyczy wrona w gnieździe, —
Spotkali się na rozstaju w czartowskim zajeździe...
Czapy czupryn wiatr czochra, strzechy izbom ścina, —
Wytoczyli cztery beczki czerwonego wina!
Dno w szklenicach czeskich łyska łąką-centką krwistą,
Karmazynem przezroczystym i delją złocistą...
Hulaj dusza bez kontusza! Kto żyw rusza w płąsy!
W gęstych miodach umaczali zawiesiste wąsy.
Inszy tańczy, inszy chrapie, spity snem, jak bela,
Stołki w drzazgi porąbała srebrna karabela.
Zamiatali piórem izbę, spraszali uprzejmie,
Szumiał wiatr pijany w czubach, jak w szlacheckim sejmie...
Aż tu naraz świsnął piorun, jakby trzasnął z bicza,
W karczmie gościom zrzędył miny, poblądły oblicza,
Ani zwid ich we drzwiach straszy, ani ćmi się zmora, —
— Czołem! czołem! poznajemy, — imć pan Wernyhora!
A witajże, mości panie, witaj nam, serdeczny,
Odrzuć topór małolepszy, katowski, dwusieczny,
W ręce twoje, mociumpanie! rdza nam troskę zżarła,
Są słoninki wonne polćie, jest czem zwilżyć gardła.

A posmakuj, stary-jary, winka, dobrodzieju,
Pomruczymy o dawności, wspomnimy o Reju...
W Nagłowicach wypiliśwa świat onego czasu,
Byli-pili z nami zacni, pił Jan z Czarnolasu...
Hej! bywało w złotej Polsce, jak przystoi, drzewiej,
Przepomniane łońskie dzieje, wždy nikt o nich nie wie! —
Siła jadła za stołami, pełne fasy na nie:
Grzybki, rybki, ptaszki, panie, — w śmietanie! w śmietanie!
Z kopereczkiem, z pasternaczkiem, jak się jadać zwykło,
I rydzyki posolone i rosółek z ćwikłą,
Meloneczki, ogóreczki, groszki, ziółka wonne, —
O rozkoszna krotofilu! przypomnienia płonne!...
Furda, ciury! Sto fur beczek z osmętnicą swojską!
Król Jegomość trzosem trząśnie na kwarciane wojsko,
Zafurkocą proporczyki *Kyrielejson* bitwie,
Ze libertas non patietur w Koronie i Litwie,
I *ad lauream* pobiegną chorągwiane hufce,
Fundamentum Niepodległej ustanowią mównice...
Żartem coelum obracabat, kiedy pił Kopernik,
Gryząc *magno appetito toruniensem* piernik...
W kolczej zbroi tysiąc chłopca na Psiem Polu ubić.
Za porohem krasną dziewczkę polubić, hołubić,
Świst i Poświst, wichry morskie, wetchnąć piersią mocną, —
Nie urocą nas puszczyki w boru porą nocną!...

Nie urocą, nie urzekną ich ślepe źrenice,
Nie rozdziobią kruki-wrony, te czarne lotnice!
Słucha zasię Wernyhora, pode drzwiami słucha,
A za oknem wicher wyje, jęczy zawierucha,
Skrzypią krokwie, niby strzyga, piszczy świerszcz zażarcie,
Jak duszyczka pokutnica, jak chichoty czarcie.
Cała karczma idzie kołem, kręci się okrętem.
Owionęło tego mrozem, zapachniało smętem,

Czarnym koniem wybębniło, pod oknami przysło,
Potoczyły się ciemności nieskończoną wisłą...
Tirli-tirli na skrzypeczkach śmierć zagrała śpiewnie,
Zawierzbiło fujareczką, wrzasło basem gniewnie, —
I na ustach i na palcach krew pachnie, jak wino,
Zaciążyła chmura czarna czyjąś wielką winą...
Wykrzywiła się ze śmiechu gospodarska gęba, —
Dzisiaj Polsce trzeba krzepy, siły Wyrwidęba!
Niech wybuchną smolne żagwie, co tłą się ponuro,
Niech Wyrwidąb do roboty skoczy z Waligórą!
Basta, basta! gospodarzu, sakramenckie basta!
Zatętnimy czwórką koni po trakcie do miasta,
Do stodoły, do warsztatu, za mostowe przęsła, —
Tam, gdzie siła nas rzuciła i krajem zatrzęsła!
Kary konik niecierpliwy rzy, trzaska kopytem, —
Pojedziemy majem-gajem, czerwoniutkim świtem,
Zadzwonimy, dogonimy na rozstajnej drodze,
Jeno świsną bicze z piasku i popuszczą wodze;

A przed karczmą będzie popas, w czartoskim zajeździe, —
Pędzi wiatr po ściernisku, krzyczy wrona w gnieździe! —
Ponad karczmą burza szczeka, wichrom wichry grożą,
Tylko śpiewa skowroneczek pod niebieską zorzą!...

Dzień powszedni

Na zawiasach poranku do wieczornej pory,
Otwarty ścieżaj, stoisz, jak wrota obory,
Z której woły robocze pędzą ludzie biedni...
Witaj, pachnący pracą, świeży dniu powszedni!

Już słońce, nad wysokim sufitem ukryte,
Przez szybę, dzwoniąc, ranną składa ci wizytę,
I po nocnej niewiedzy płynnych marzeń sennych
Oddaje władzę dziejom spraw żywych i cennych.

Dzień wysokim pochodem w niebios czapie chmurnej,
Zaprawiony w zawodach, rankiem wszczyna turniej;
Jeszcze cichej melodji szumi przyśpiew długi,
Jeszcze suną po niebie przewlekle snu smugi,
Gdy dźwigasz się z pościeli i w rozumnym buncie
Bose stopy na twardym dumnie stawiasz gruncie,
Pobudką spieszysz myśli, rozkazem gonitwy,
Przebudzony i czujny, już gotów do bitwy.

Rozpoczęte zapasy. Dzień szczękiem oręża —
Gwarem świata uderza, jeszcze nie zwycięża,
Lecz skrada się i zdarzeń pociskami celnie
Napada cię i zranić próbuje śmiertelnie,

Na wątle bary wtlacza tęgi wór ciężarów,
Pod stopami otwiera nagle ciemny parów,
I w przepaść próżną spycha, lub z uśmiechem dziecka
Znienacka cię urzeka siła dnia zdradziecka!

Znów deszczem siepie w oczy, albo wiatrem parzy, — —
Jak na morzu burzliwym garstkę marynarzy,
Gdy czoła rozpalone powiew smutku chłodzi,
Bezwładnie przepędza w obciążonej łodzi, — —
Tak myśl twą w krętych wirach tłumi huk i zamęt
I w szumie piennym cichnie wołanie i lament...

Już pod pełnią słoneczną wypukłe południe
Praży blaskami bitwę, prowadzoną żmudnie,
Gdy kilofem górnika rąbiesz w odłam skalny,
Który stygnie i spada — czas nieodwracalny,
Albo nożem rozcinasz ciężkich godzin gęstwę, —
Ach, ile sił potrzeba, żeby serce męstwem
I dzień uśmiechem nalać, jak winem łoż czystych,
I w końcu zamknąć klamrą, niby rymem dystych,
Pod wieczór dobrotliwy, kiedy serce wierzy!...
O, ciche niebo w oczach! ostatnia wieczerzy!...

Przez bandaże obłoków, które zwilża rosa,
Gwiazd gwoździemi pokłute, krwią broczą niebiosa,
Dzień w samo słońce ranny stacza się i spada,
Zamoczona wygląda księżycy twarz blada,

Jak popiół drzew spalonych pod ognistą kulą...
Do zmierzchów zapomnienia godziny się tułają...

Zatrzaśnięto drzwi w górze. Już bitwa skończona.
Pokonany przemocą ogromny dzień kona,
Garściami gwiazdy sieje na zemstę swej klęsce,
Szczęśliwą groźbą jutra raduje zwycięzcę,
Który, wzmocniony walką, niepokorne czoło
Stawia dniom, zaplątanym w nieustanne koło.

Na zakończenie książki

Czytelniku, jeżeliś do końca przeczytał
Tę książkę, która długo i powoli rosła,
Jeśli cię w niej wzruszyło słowo lub myśl wzniosła,
Jeżeliś trudne strofy radośnie powitał, — —

Wiedz: jak lichwiarz, co skrzętnie gromadzi kapitał,
Zbierałem wszelką wartość, służąc ci za posła,
Pragnąc, by książka siłę do walki przyniosła
I treść, o którą cień twój w myśli mnie zapytał.

Piszę o rzeczach prostych i słowa są twarde,
Niosą mi je burzliwe silne fale Wisły...
Patrz w serce! życie tętni! uderzaj oskardem!
Czytelniku! tak swoje pisałem Przemysły.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/braun-przemysly/>

Tekst opracowany na podstawie: Mieczysław Braun, Przemysły, Warszawa 1928

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0107-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).